ŚWIATŁO

pismo powieściowe i popularno-naukowe

wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia **1-go.**

Wydawca i redaktor: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Rocznik II. (Półrocze II.) — **Numer 5.**
(Za listopad 1910 r.).

Adres: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie
ulica Powiśle L. 12.

KRAKÓW.
Nakładem Ks. M. Dziurzyńskiego,
Czcionkami Drukarni Związkowej pod zarządem A. Szyjewskiego.
1910.

Treść numeru 5-go.

Rozszerzajcie „Światło“

i jednajcie nam nowych prenumeratorów jak najwięcej, bo gdy się w tym roku zbierze większa liczba Czytelników, to w takim razie podawać będziemy w każdym numerze „ŚWIATŁA“ piękne ryciny (obrazki).

Zdania Papieży i Biskupów o popieraniu prasy!

Papież **Pius IX.** powiedział: **„Żądamy, aby katolicy życzliwie popierali tych, którzy wydają pisma przejęte duchem katolickim“.**

Pius X., który niegdyś jako Patryarcha Wenecyi gotów był zastawić swój pastorał biskupi, aby podtrzymać pewne pismo weneckie, wyraził się już nieraz jako Papież, że **„popieranie dobrej prasy katolickiej** (czyli pism) **jest o wiele lepszem dziełem, niż budowanie kościołów i klasztorów“.**

W podobny sposób mówił w roku 1908 o prasie na wiecu katolickim w Saragossie (w Hiszpanii) Arcybiskup Aguirre z Bourgos. Wyrzekł on te słowa: **„W dzisiejszych czasach jest rzeczą większej wagi dać światu jedno pismo prawdziwie katolickie, niż zbudować kościół“.**

Kardynał Parochi mawiał: W czasach, gdy Kościołem rządził Leon X., udzielano hojnie odpustów tym, którzy składali ofiarę na budowę kościoła świętego Piotra· Ja zaś na klęczkach prosiłbym Ojca świętego, aby udzielał odpustów wszystkim, którzy przez popieranie prasy katolickiej współuczestniczą w budowaniu żywego Kościoła Bożego“.

Rocznik II. Kraków 1-go listopada 1910. (Półrocze II-gie) Nr. 5.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 3** korony — na **pół roku: 1** kor, **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** kor. — półrocznie **2** kor. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya **„ŚWIATŁA“** w Krakowie ul. Powiśle 12.

DZIEŃ ZADUSZNY.

Wkoło tyle smutku, bólu i żałoby,
Jakby ziemię całą spowił mrok i cień,
Rozmodlone tłumy otaczają groby,
A wszędzie łzy płyną — to Zaduszny dzień!

Każdy przypomina rozstania godzinę,
Każdemu serdeczną pierś tęsknotą drży,
Każdy opłakujc krewniaków, rodzinę,
Ojca, męża, dziecko, co w mogile śpi.

Serca ich za życia miłość kojarzyła,
Razem podzielali z sobą ciężki los,
Dzisiaj ziemia-matka szczątki ich zakryła,
A śmierć ostateczny zadała im cios.

Lecz ci, co zostali, czyż zapomnieć mają,
Że winni im miłość, wdzięczność albo cześć?
Więc gdy w utrapieniu dusze ich zostają.
Modlitwą im pomoc swą powinni nieść.

Dusza nie umarła, bo umrzeć nie może,
Lecz na sprawiedliwy Boży poszła sąd,
Dziś w mękach czyścowych znosząc kary Boże,
Pokutą, cierpieniem zmywa grzechów trąd.

W więzieniu bolesnem wypłacając długi,
Głos prośby serdecznej śle ku nam na świat,
I któż z nas tym biednym odmówi usługi?
Tam matka, tam siostra, przyjaciel lub brat.

Wspomóżmy ich naszą modlitwą serdeczną,
By cierpień umniejszyć i spłacić ich dług,
My możem im radość przybliżyć odwieczną
I rychło w niebieski wprowadzić ich próg.

Więc dzisiaj i zawsze z modlitwy darami
Śpieszmy, litość niech w nas obudza ich stan;
Módlmy się za zmarłych, jeżeli też sami
Pragniemy, by dla nas miłościw był Pan.

ZEPSUTE PALCE.

(Zdarzenie prawdziwe z 1886 roku).

Przed kilkunastu laty pisały dzienniki o następującem prawdziwem zdarzeniu, jakie zaszło w Westfalii około 1886 roku.

W piękny dzień czerwcowy, opowiada pan J., wyszedłem za miasto na przechadzkę. Uszedłem już spory kawał drogi, gdy naraz usłyszałem turkot zbliżającego się powozu, w którym ujrzałem znanego mi doktora, pana A.

Na mój widok zacny lekarz kazał powstrzymać konia, a wyciągając do mnie rękę, zawołał wesoło:

— Dokądto panie Józefie? Jeśli na przechadzkę, to siadaj ze mną, bo tak dawno nie widzieliśmy się, miłe mi będzie bardzo twoje towarzystwo.

Uścisnąłem rękę doktora i chętnie zgodziłem się na jego propozycyę; wsiadłem do powozu i razem pojechaliśmy do oddalonej o jaką milę wioski, dokąd doktor śpieszył do chorego. Żywo potoczyła się rozmowa, której przedmiotem były różne choroby.

Nagle doktor zamilkł, jakby nową myślą uderzony, a po długiej chwili rzekł:

— Wszystko, co panu przytoczyłem, dowodzi, że niewiele jest dziś tajemnic dla medycyny. A jednak wyznać

muszę, że zdarzają się choroby, których przyczyn trudno dociec nauce. Znasz mię pan, że przesądnym ani zabobonnym nie jestem, że we wszystkich objawach życia upatruję naturalne tylko przyczyny i skutki; jednakże nie więcej, jak przed półrokiem miałem pacyenta, którego choroby nie mogłem sobie wytłumaczyć w sposób naturalny.

— I w jakiż sposób wytłumaczyłeś ją pan sobie? — zapytałem z uśmiechem, bo wiedziałem, że pan doktor, choć człowiek zacny, był bardzo wolnomyślnym, i sam się przyznawał do tego; ba, szczycił się może nawet trochę swoim liberalizmem.

— Dla mnie choroba została niewyjaśnioną zagadką, — odparł uczony lekarz, — ale sąsiedzi chorego przypisywali ją karze Bożej za krzywoprzysięstwo.

— Jakto? więc ten pański pacyent był krzywoprzysięzcą?

— Sądownie nie dowiedziono mu tego, ale głos ogółu uważał go za takiego.

— Lecz jakież były objawy tej niepojętej przez pana choroby? — pytałem ciekawie.

— Zadziwiające! Ale posłuchaj pan, jak rzecz się miała. Przed kilku miesiącami przyszedł do mnie wyrobnik z wioski, do której właśnie jedziemy i prosił, aby mu poradzić coś na palec, bolący go od dni kilku. Ujrzawszy palec, spostrzegłem odrazu, że się psuje,... gnije poprostu. Zbadałem chorego, był zupełnie zdrów i silny, a jak mi mówił, nigdy dotąd nie chorował. Na pytanie moje odpowiedział, że palca sobie niczem nie uszkodził, i że nagle boleć i psuć się począł.

— Zastosowałem odpowiednie środki, opatrzyłem palec i kazałem choremu za kilka dni przyjść do opatrunku. Stawił się biedak w oznaczonym czasie, ale ze zdumieniem spostrzegłem, że starania moje na nic się nie zdały; z dużego palca, który najpierw zaczął boleć, prawie już nic nie zostało, ugnił cały, a natomiast zaczął się psuć wkazujący. Użyłem wszystkich środków podawanych mi przez naukę, uczyniłem wszystko, co było w ludzkiej mocy, lecz, niestety napróżno usiłowałem zwalczyć chorobę Palce gniły jeden po drugim, dopóki nie zepsuły się i nie odpadły wszystkie u prawej ręki. Przyczyny tej dziwnej choroby

odnaleźć nie mogłem i mimo największych wysiłków i najtroskliwszych starań, nie uratowałem ani jednego palca; gdy ostatni odpadł, rany zagoiły się same bardzo prędko. Chory przychodził zwykle sam do mnie, nic więc nie wiedziałem o nim nad to, jak tylko, że był robotnikiem. Lecz raz, będąc w miejscu jego zamieszkania, u innego chorego, zapytałem, jak się miewa ten nieszczęśliwy kaleka, któremu nic pomódz nie zdołałem.

— A, panie konsyliarzu, — odpowiada mi poważny, chory gospodarz, do którego zwróciłem zapytanie, — biedny on jest, to prawda, ten robotnik bez palców u prawej ręki i ciężka jego dola, bo co teraz pocznie? Ale potrzebnaż mu było tak bardzo obrażać Pana Boga i taką karę srogą ściągnąć na siebie?

— Więc to karą Bożą, jest ta choroba? — spytałem zdumiony. — Cóż to on zrobił tak złego?

— Nie wie pan konsyliarz? Toć wszyscy o tem mówią, że przysiągł fałszywie, i Bóg go dotknął kalectwem: jemu na karę, a drugim na przestrogę.

Zapytałem kilka jeszcze osób o mojego pacyenta, a wszyscy bez ogródki utrzymywali, że to jego kalectwo, to kara Boża za krzywoprzysięstwo.

— To bardzo być może! — zawołałem. — Sam utrzymujesz, doktorze, że naturalnej przyczyny tego cierpienia nie było, — a że bez przyczyny niema skutku, więc przyczyną było tu coś nadzwyczajnego: mogła tedy nią być i kara Boża.

— Dobrze, ale gdyby Pan Bóg karał w ten sposób grzechy, to czemużby czynił to tak rzadko? — zagadnął lekarz. Ileż to zbrodni uchodzi bezkarnie! I dlaczegóż Pan Bóg ich nie karze? Gdyby po każdym grzechu następowała natychmiast kara, niktby chyba nie grzeszył, a ludzie byliby dobrzy, jak Aniołowie. Czemuż tedy, pytam się, tak się nie dzieje?

— Za wiele chcesz wiedzieć, doktorze, odparłem! — «Drogi Boże nie są naszemi drogami». Nie nam więc wiedzieć, czemu Bóg czyni tak, a nie inaczej. A zresztą, gdyby ludzie tylko z obawy kary unikali złego, czyżby ich można nazwać rzeczywiście cnotliwymi? Ja sądzę, że nie! Zamiast do Aniołów, byliby raczej podobni do gromady strwożo-

nych niewolników. Nie, kara nie może być jedyną pobudką do unikania złego!...

Uczony doktór nic nie odpowiedział, bo właśnie stanęliśmy przed domem, w którym chory wyczekiwał jego pomocy. A później nigdy już nie pytał, dla czego Pan Bóg nie karze zbrodni natychmiast.

Męczeństwo świętej Doroty.

Dramat jednoaktowy w dwóch odsłonach

Ułożył O. Floryan, Kapucyn.

Osoby.

1. Saprycyusz — starosta.
2. Teofil — sekretarz starosty.
3. Filon — żołnierz.
4. Dorota — Męczenniczka św.
5. Gertruda — służąca Doroty.
6. Chrysta }
7. Kallista } dwie rodzone siostry.
8. Ksantypa (*babsko do pomocy katowi*).
9. Kat.
10. Aniołek.
11. Djabełek.
12. Chór śpiewaczek i gawiedź ciekawych

Rzecz dzieje się w mieście Cezarei w Kapadocyi w roku 230 dnia 6-go lutego.

Scena I.

Sala sądowa nieco zielenią przybrana, stół nakryty zielono, parę krzesełek, karło, karafka z winem lub piwem, szklanka i t. d. Przy stoliku (w kostyumie jak na obrazach stacyjnych Piłat) starosta, a przy drzwiach na odwachu w sali stoi rzymski żołnierz z piką, w kołpaku.

Starosta. *(W karle siedząc lub wstając, otrzepuje z kurzu suknie, obciera chusteczką spocone czoło i mówi).*

Daleką przebyłem dziś drogę — zmęczyłem się, już nawet na nogach utrzymać się nie mogę. Od syszaku spieczone mam czoło *(patrzy do lusterka)*. — No, ale tu w Cezarei będzie mi wesoło. Z chrześcijankami będę miał rozprawę, a piękne to dziewczęta, jak mówią, i żwawe. Niestety! korpo di Bakko! powaryowały *(śmieje się ironicznie)*, bo śluby panieństwa pozaprzysięgały. Ukrzyżowanego Boga adorują, a na nasze bogi zniewagami plują *(wstaje)*.

O jest tu jedna panienka imieniem Dorota — *(najżarliwsza ascetka)* z nią też dziś będzie najcięższa robota. Jest to szlachcianka — mówią polska słowianka — zakonnica — Ukrzyżowanego Chrystusa oblubienica. — Tej się boję. — Lecz a konto odwagi dobrze się opiję. Napiję się *(nalewa do szklanki)* wina.

Mnie musi się poddać przemądra dziewczyna *(patrzy na klepsydrę* [1]). Od mojego przyjazdu już dziesiąta upłynęła chwila. — Co to jest, że nie widać adjutanta *(sekretarza)* mego Teofila?... *(drzwi się otwierają).* O! jest — korpo di Bakko.

Teofil *(sekretarz)* wchodzi.

Najmocniej przepraszam pana Starostę — spóźniłem się, za co pan Starosta pewnie dziś jeszcze potężnie mnie wychłosta. Długo i długo szukałem i penetrowałem, jak kot z poza płota, nim się dowiedziałem, gdzie mieszka Dorota. Zobaczyłem ją nareszcie tam w górze, modlącą się przy figurze w figowym ogrodzie, a poznałem ją... po urodzie. Cudo piękności! jak duch z Olimpu pełna wdzięku, do zachwytu miłości!

Starosta *(zaniepokojony, kręcąc się tu i tam — gestykulując rękami mówi).* Droga jest każda chwila, niema czasu do stracenia, a więc proszę Teofila, byś wykonał moje zarządzenia. Idź czemprędzej chrześcijańską uwięzić hołotę, a przedewszystkiem przywiedź tu Dorotę.

Teofil *(wychodząc mówi)* O! i ja jestem tego zdania, by Dorotę tu stawić pierwszą do zbadania. Ona, mówią, rej wodzi jako przełożona — chrześcijańskiej gromadki, panieńskiego grona. *(Teofil wyszedł, został sam Starosta i żołnierz — przy drzwiach).*

Starosta *(chodząc po sali, zaciera ręce i mówi).* Rzecz dziwna, to jakieś chrześcijaństwo — zaniepokoiło całe rzymskie państwo. Im więcej chrześcijan na torturach ginie — tem Chrystusowe Imię coraz więcej słynie. Im gwałtowniejszy gniew nasz na niego się sroży — tem większa liczba wyznawców się mnoży *(z poza kulis daje się słyszeć głos):* Saprycyuszu! widoczny w tem cud i palec Boży!...

[1]) Rodzaj zegarka starożytnego,... można tu użyć zwykłego zegarka kieszonkowego.

Starosta *(przerażony chwyta się za głowę i mówi).* Corpo di Bakko! Co ja słyszę? Kto mi odpowiada? Co to jest zobaczę — może od sąsiada przyszedł mój towarzysz, wróg chrześcijan zacięty. — Źle mi się robi... *(trzyma się za brzuch)* od przestrachu cały jestem wzdęty *(ciężko sapi i mówi do żołnierza).* Zamknij drzwi Filonie — niech się uspokoi turkot w moim łonie *(sapi — czkawka go dusi).*

(Słychać stukanie do drzwi i ropotanie klamką).

Starosta: Corpo di Bakko — podeprzej drzwi korpusem, bo to może chrześcijanie przychodzą z Chrystusem — co jak mówią zmartwychwstając, powalił straż na ziemię, a ja tu sam! nie głupim upadnąć na ciemię *(ręką głaszcze się po głowie, z poza drzwi słychać piskliwe wołanie):* Jasny Panie! proszę się nie trwożyć, rzecz to ważna — nic się nie stanie, tylko drzwi otworzyć.

Starosta. Ach ja słaby, a te baby wciąż pod drzwiami stoją i mnie niepokoją. Filonie otwórz! niech zobaczę. Proszę.

(Wchodzą dwie damy Chrysta i Kallista, kłaniają się uniżenie i jedna z nich mówi): Przebacz panie Starosto, że nie w swojej porze zjawiamy się tutaj w cesarskim dworze. Przychodzimy ci oświadczyć, żeśmy ich zdradziły. Za chwileczkę Dorotę tu przed Tobą stawi *(kłania się).* Niech się Wasza Wysokość z nią na seryo rozprawi, a następnie ją odda do nas na naukę — czego sam nie dokażesz — my pokażem sztukę. My, byłe chrześcijanki, znamy tajemnicę *(na salę sióstr ręką pokazuje)* zbałamucić możemy nawet zakonnice.

Starosta. Wdzięczny wam będę za to — zapłacę sowicie. — Zdradzajcie dalej chrześcijan i mówcie co wiecie *(za drzwiami słychać rozmowę i kroki jak po schodach)*

Starosta *(nadsłuchuje).* A teraz... *(słychać brzęk zbroi),* co to jest? znów słychać stukanie. — Wy czemprędzej schowajcie się panie.

(Damy chowają się, otwierają się drzwi — Teofil z żołnierzem przyprowadza Dorotę rozpromienioną — za Dorotą wciska się zapłakana dziewczyna służąca).

Teofil *(do Starosty).* Oto jest Saprycyuszu, przemądra Dorota — a ta druga, jej służąca także piękna sierota.

Starosta *(przybrał minę wdzięczno łagodną, przybliżył się, lecz Dorota się cofnęła — Starosta do niej):*

Nie lękaj się gołąbko — uspokój się! Dlategom Cię tu zaprosił Doroto miła, byś uszczęśliwiona ze mną po królewsku żyła. Ale jest rozkaz cesarza rzymskiego, by wszyscy poddani czcili i wierzyli w bogi jego. Zatem i ty Doroto uczyń zadość jego woli, a na wszystko ci potem Cezar nasz pozwoli. —

Dorota. Ja cesarzem mam Boga, co wszędzie panuje. Znam Jego święte prawa i te zachowuję. Chrystus mnie nauczył, abym miłowała i wierzyła w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi i w Jezusa Chrystusa Syna Jego, Pana naszego, który się począł z Ducha św. narodził się z Maryi Dziewicy i t. d. Tak panie starosto, wierzyć Ci potrzeba, jeśli po śmierci chcesz wnijść do nieba. Jeśli zaś tak zostaniecie, to z bóstwem razem w piekło poginiecie.

Starosta. Za bogów obrazę, męczyć cię rozkażę.

Dorota. Ja doczesnej męki żadnej się nie lękam, bo ja znoszę krzyże i przed krzyżem klękam, a na bałwany — większy mam przygotowany.

Starosta. Za pogardę bogów — Filonie drapcie ją grabiami *(hakami)*.

(Żołnierz Filon przystępuje i po plecach grabiami szarpie).

Służąca Doroty *(płacząco krzyczy)*. Nie rańcie mojej pani — jeno mnie!...

Dorota. Co mnie łechcesz żartobliwie. Szarp śmiertelnie, bym szczęśliwie skonała i Jezusa Oblubieńca czemprędzej widziała. Tortur się waszych nie boję, gdy widzę niebios podwoje już dla mnie otwarte. Wasze bogi z bałwanami tylko piekła warte.

Dorota czyni akty strzeliste:

O Jezu miłości moja! Miłosierdzia i nawrócenia! O Oblubieńcze mej duszy Panie Jezu Chryste, dla miłości Twojej cierpieć i umierać.

Teofil. Doroto! kogóż ty miłujesz? do kogo tak wzdychasz, a nasze bogi do piekieł odpychasz?

Dorota. Do Jezusa Chrystusa Syna Bożego — z Niepokalanej Dziewicy Maryi zrodzonego, pod pontskim Piłatem ukrzyżowanego.

Teofil. A gdzież ten Chrystus teraz przebywa?

Dorota. Siedzi na prawicy Boga Ojca Wszechmogącego — całym światem rządzi. Wszystkich dobrych wynagradza, a złych ostro sądzi.

Starosta. Lepiej byś te próżne myśli już raz porzuciła, a na ofiarę bogom kadzidła choć szczyptę rzuciła — za mąż byś się wydała, uczyniłbym cię boginią — niebo tu byś miała.

Dorota. Djabłom się nie pokłonię — jestem chrześcijanka, a męża nie pojmę — bom niebian wybranka.

Starosta *(śmieje się).* Dodaj — zwaryowana panna Dorocianka. Teofilu przywołaj tu damy Chrystę i Kallistę — byłe chrześcijanki — poganki siarczyste. One niegdyś Chrystusa także wyznawały, lecz w torturach się Jego miłości zaprzały. One jako doświadczone wpłyną na Dorotę, że porzuci Chrystusa i panieńską cnotę.

Teofil wyszedł z żołnierzem.

Starosta *(bierze szkatułkę z perłami i złotem — zbliża się i pokazuje Dorocie mówiąc).* Szlachetna i nadobna miła Doroto! Oto patrz! te brylanty, klejnoty i złoto, to wszystko dam ci w darze, jeśli ze mną pójdziesz przed bogów ołtarze, dasz mi rękę, ja zaniecham z Tobą mękę. Namyśl się! zastanów! ja tymczasem pójdę zjeść śniadanie.

(Wychodzi — w drzwiach spotyka się z Chrystą i Kallistą).

Starosta. A dobrze, że idziecie moje drogie panie, proszę! proszę do kompanii. Z Dorotą się bawcie, wyleczcie ją z głupiej manii, a dobrze się sprawcie!... *(wyszedł).*

Zbliżają się damy do Doroty.

Jak się masz Doroto — przyjaciółko dawna, tak z piękności i mądrości chrześcijanko sławna!

(Chcą się przywitać, podają ręce, lecz Dorota się usuwa).

Czy i ty za nami chcesz przyjść służyć bogom — tedy nasze protekcye — wiele ci pomogą. Przyzwól piękna Doroto cesarskim wymaganiom, a już dziś będziesz wolną i bogatą panią. My jako chrześcijanki byłyśmy ubogie, a teraz patrz! mamy brylanty, suknie — klejnoty drogie. Jeśli się nie wyrzekniesz Chrystusa czemprędzej — będziesz cierpieć w więzieniu w ostatecznej nędzy, albo dziś umrzesz

w okrutnych mękach — chociaż Chrystusa kochasz i trzymasz krzyż w rękach.

Dorota. Wy nędznice! zaprzanki — nie bluźnijcie krzyżowi, ani Chrystusowi. Precz z djabelską radą i babską pokusą. Dobrze wam dziś — lecz po śmierci co się stanie z duszą? Ona w piekle żyć będzie na wieki — bez końca — Nigdy nie zobaczycie Boga — jasności słońca. Zawsze w ogniu z djabłami w okropnej ciemności — nigdy wybawienia — ulgi i wolności. Tam na wieki wieków, a nigdy Amen nie usłyszycie *(wiecznie nieszczęśliwe życie)* czy wy w to wierzycie? Dla chwilowej rozkoszy niebo-ście sprzedały — porzuciłyście Boga — djabłom się oddały. Wy za zdradę same sobie w oczy naplujecie — kiedy w rozpaczy umierać będziecie. W piekle was djablice będą wyśmiewały, żeście głupie za olej *(bałwany)* niebo postradały. Usłuchajcie mojej rady — dziś jeszcze żałujcie — za odstępstwo od Chrystusa szczerze pokutujcie.

Damy. Jużeśmy raz zginęły i Chrystusa utraciły, jakże napowrót możemy zyskać przebaczenie. Jeźli Chrystus obrażony — Kto da rozgrzeszenie?

Dorota. Matka Boża Miłosierdzia i Niepokalana
Uprosi wam przebaczenie u Chrystusa Pana.
Na Jej prośby Jezus — przebaczył łotrowi —
I wam przebaczy, zachowa od rozpaczy i ła-
[skę odnowi.

Damy *(skruszone klękają, modląc się):*
O Matko Boska ucieczko grzeszników
Ratuj nas, ratuj djablich niewolników.
Wstaw się za nami święta Doroto —
Przeklęte niech będą, bogi, rozkosze i złoto.

Dorota. Jezu, Tyś powiedział, że Bóg nie chce śmierci grzesznego, ale szczerego nawrócenia Jego, daj łaskę nawrócenia Chryście i Kalliście, by odpokutowały i z Tobą w niebie mieszkały wieczyście.

Służąca Doroty *(stojąc i patrząc w okno).* Dobra panno Doroto, pan starosta idzie. Wy Chrysto i Kallisto czemprędzej wstawajcie. Otrzyjcie łzy i precz uciekajcie.

Damy. O nigdy, przenigdy! tego nie zrobimy. My z Dorotą wraz cierpieć i umierać chcemy.

Starosta *(wchodząc z Teofilem mówi):* No, cóż moje panie — dobrze się udało? Opowiadajcie śmiało — czy Dorocie serduszko zmiękczało?

Kallista. Tak starosto — myśmy głupie były, żeśmy wiary odstąpiły, żałujemy żeśmy pobłądziły, ale teraz wyznajemy, że wierzymy w Boga Wszechmogącego i t. d.

Starosta *(rozdziera szatę wołając):* Filonie — te dwie nowe chrześcijańskie wrony w tej chwili wrzućcie w kocioł rozpalony. Niech się ugotują i w siarkę rozleją, że z naszych bogów i ze mnie się śmieją. Po ich straceniu zaraz przyjdziecie. I głowę Dorocie mieczem zetrzecie.

Damy *(rzucają się w objęcia Doroty).* Żegnaj Doroto — módl się za nami odstępczyniami.

Dorota. W Imię Jezusa idźcie przedemną, a ja za wami
Do Króla niebios — tam, nad gwiazdami
W chwale niebieskiej na mnie czekajcie
I z Aniołami pieśni śpiewajcie.

(W tej chwili, gdy ich wyprowadzają — chór panienek ukryty śpiewa: »Serce Zbawiciela Bożej pełne chwały« albo inną piękną pieśń).

Zasłona spada — pauza.

Scena II.

Wykonanie wyroku śmierci.

Sala, nieco po ścianach kirem (bodaj czarnemi chustkami) — osłonięta — przy jednej ścianie słup z wieszadłem (kołek dłuższy), na środku sali kloc, czarno nakryty — na nim topór (kuchenny tasak) przy klocu kat w czerwonej sukni i czapce. Kiedy tak już wszystko żałobno przygotowane — kurtyna się podnosi — cisza i mrok. — Po małej chwilce wchodzą Starosta — Teofil i jaka bądź kobieta do pomocy katowi — potrzebna do odsłonienia szyi Dorocie. Może być też w czerwonej liberyi jako katka.

Gdy starosta przy stole usiadł — wprowadzają żołnierze (albo jakie niewiasty) Dorotę, za nią służąca i rozmaici ciekawi ludzie, W sali robi sie rojno — ciasno. Dorotę stawić niedaleko starosty. Kiedy tak już urządzono i cisza zaległa salę —

Starosta *(wstaje mówi do Doroty):*
Widziałaś Doroto okropne ich męki?
Słyszałaś westchnienia i bolesne jęki?

Dorota. Widziałam ich uśmiechnięte. Słyszałam, jak się modliły święte! poumierały i do niebieskiej chwały poszły modlić się.

Starosta. I ty jeszcze zostajesz przy swojej wierze? Do Ukrzyżowanego Boga odmawiasz pacierze? Wyrzeknij się Chrystusa, bo zginiesz — szkoda urody i pięknych lat. Patrz! jakie cię czekają męki *(pokazuje)* tu wieszadła *(szubienica)*, a tam kat!

Dorota. W porównaniu z wiecznością — to życie — to dzień, a męki doczesne choć najsroższe to od piekielnych ani cień. W piekle katy z rogami ciebie z twemi bogami męczyć będą bez przestanku. Nawróć się, nawróć do Chrystusa — ty poganku *(starościanku)*.

Starosta. Corpo di Bakko — jak śmiesz tak zuchwale drwić ze mnie! Dalejże katy! Dorotę bierzcie na pale, przywiązać i bić baty.

(Kat i żołnierze chwytają Dorotę — przywiązują ją do słupa — ręce w górę. Pomaga im katka babsko).

Służąca Doroty *(z płaczem prosi)*. Ach panowie litości! na wasze bogi zaklinam nie męczcie mojej panienki — mnie szarpcie, mnie zabijcie *(klęka — ręce składa)* przynajmniej ty niewiasto okrutna, bez serca nie pomagaj katom, nie wiąż, nie krępuj jej rączek.

(Żołnierze biją Dorotę, która widząc swoją sługę płaczącą mówi):

Dorota. Nie płacz Gertrudo! ale wraz ze mną odmawiaj

Hymny do Imienia Jezus.

O Jezu słodkiej pamięci, Jezu błogiego wspomnienia
Niewysłowionego brzmienia. Jak mnie Imię Twoje nęci —
Jakie miody w serce wlewa, Jakie hymny w duszy śpiewa.
Cóż słodszego od śpiewania — Dźwięczniejszego do wygrania?
Jaka rozkosz w Twem imieniu — Balsam w smutku i ciepieniu —
Woń i słodkość w rozważaniu. Jakie szczęście w ukochaniu!
Dla niewinnych w Twej miłości — Srebrna kąpiel niewinności.
Pokutnikom Jezu Boże — Miłosierdzia jesteś morze...
Kto Cię wzywa — kto Cię szuka, kto do serca Twego puka—
Nie zawiedzie się w nadzei — wśród doczesnych tych zawiei
Lecz kto Jezu znajdzie Ciebie, Ten już mieszka w jasnem niebie

Ten w spokojnym oceanie — Twych słodyczy — ginie Panie.
Nie wypowie tego mowa, nie wyrażą ludzkie słowa —
Nie wyśpiewa serce w pieśni I przez wieczność duch nie prześni.
Ty o Jezu, Ty jedyny — Weźmij chęci — myśli, czyny!
Mej istoty zajmij całość — Podnieś, rozszerz moją małość —
Niech rozgorzą płomieniami, niech się strawią cierpieniami
A z popiołów gdy powstanę — Uwielbioną gdy zostanę —
Nie po kropli, nie pod miarą, Ale przepełnioną czarą
Pić już będę aż na wieki — Twych słodyczy Boskie rzeki.

(Gdy skończyły, wtedy starosta zmięszany mówi):

Starosta: Doroto! Czemu w mękach wesołość udajesz?

Dorota: Nędzniku! w błędzie zostajesz! Ja wesołością Ciebie zwyciężę i twoje bogi i twe oręże.

Starosta: Spuście ją z pala — tu na podłogę, Ja jej bluźnierstwa ścierpieć nie mogę. Bijcie ją w gębę, kopcie nogami, rozpalonemi pieczcie blachami.

(Żołnierze wykonują to prędko).

Ty zaś kacie — w czerwonej szacie zetniesz głowę Dorocie!

(Teraz dają Jej chwilę do namysłu)!

Dorota *(zmęczona — podnosi się na kolana, wznosi ręce i patrząc w niebo mówi):* Dziękuję Ci Panie Jezu Chryste — Miłośniku dusz naszych, że mnie do Raju Twojego przyzywasz i do chwały Swej niebieskiej prowadzisz!

(Teraz zbliża się do Doroty Teofil i żartując sobie z panienki mówi):

Teofil: Oblubienico Chrystusowa *(skoro idziesz do raju)* przyślij mi z raju jabłek i róży!

Dorota: Uczynię tak zaprawdę — jako sobie życzysz.

Starosta: A więc wyprawcie ją do raju, kacie zetnij jej głowę.

(Katka babsko przystępuje i suknie Dorocie na szyi rozpina — welon zdejmuje. W sali cisza — jedna sługa płacze — całuje stopy Dorocie wołając):

Służąca Doroty: O moja panienko najdroższa, weźmij mię z sobą sierotę — o mój Aniele, moja dobroci nie opuszczaj mię, pobłogosław mi.

Dorota *(błogosławi — całuje ją w głowę).*

Bądź błogosławioną, żegnam cię — pozdrów ode mnie chrześcijan.

(Teraz żegna się — klęka — kładzie głowę na klocu).

Kat uderza mieczem *(z papieru)* w szyję, krew z czerwonego buraka w pęcherzyku przygotowana wylewa się— co może się stać tak, że

Babsko-katka — podtrzymująca głowę Dorocie wylewa na szyję czerwoną rudę.

Po ścięciu — daje się słyszeć za kulisami śpiew *(pianissimo)* **panienek,** *jaką stósowną pieśń).*

(Światła jasność bije, — bengalskie ognie).

Podczas oświetlenia i śpiewu — zjawia się skrzydlaty **Aniołek** — przynosi z raju w koszyku róże i jabłka Teofilowi, a z drugiej ciemniejszej strony przychodzi djabełek i pokazuje staroście na tacy ogień dymiący kadzidłem.

Starosta drży — wszyscy osłupieli — *(cisza).*

Aniołek *(przed Teofilem mówi).* Przynoszę Ci Teofilu od świętej Doroty te jabłka i róże, abyś uwierzył w Boga w Trójcy św. Jedynego. Panienka Dorota o coś ją prosił daje — dla Ciebie ja Anioł widocznym się staję.

Teofil *(klęka — wznosi ręce do nieba).* Prawy Bóg jest Chrystus o cudy! o cudy! Nie masz w chrześcijanach najmniejszej obłudy.

Starosta *(przylatuje i woła):* Coś ty oszalał, albo żartujesz!

Teofil: Ani szaleję, ani żartuję — ja po chrześcijańsku wierzę i miłuję. Trzebaby chyba z rozumu być wyzutym, ażeby widząc Anioła z jabłkami w lutym — nie uwierzyć w prawdziwego Boga. — Ach widzę Chrystusowy cud!

Niech żyje Jezus i Jego chrześcijański lud! —

Zasłona spada.

Z pamiętnika starego huzara.

Pułk nasz huzarski miał znakomitego trębacza — mówiliśmy mu wszyscy Marcin. Pułkownik go chwalił z potężnego jego dechu, my zaś wiedzieliśmy, że brzmiące te sygnały jego trąbki płyną tylko z powodu gniewu i złości

i byliśmy przekonani, że gdyby to zależało od gniewu, byłby na polnej swej trąbce ani najkrótszego nie wygrał sygnału.

Zrana się złościł, że musiał pierwszy wstać, aby drugich pobudzić, na wieczór się gniewał, że pierwszy musiał być w koszarach, aby drugich zwoływać, przy ćwiczeniu zacinał zęby, że pułkownik więcej nim komenderuje, aniżeli szwadronem — kiedykolwiek tylko trąbił, był zagniewany, dlatego też trąbka jego tak głośno i wesoło brzmiała.

W koszarach znajdował się tylko tak długo, jak koniecznie musiał; resztę czasu przesiedział w poblizkiej karczmie, gdzie pilnie się starał o wybadanie przemysłu piwowarskiego. Był on nieszczęsnym człowiekiem, przyrodę uważał za swą matkę, a pułkownika za ojca. «Matka» przyroda obdarzyła go suchem zawsze gardłem, a pułkownik «ojciec» dawał mu tylko sześć groszy dziennie, tak, że ubogi Marcin, pomimo, że wszystkie swe rachunkowe mądrości wyczerpał, nie mógł się dorachować tak, że gospodarz karczmy często musiał mu pomódz swą kredą w rachubie jego, a długi rząd kresek na drzwiach oznaczał, gdzie ostatni raz przestali rachować...

— Frącku! — zawołał pewnego razu gospodarz na syna — Marcinowi już nie będziesz nalewał! miara grzechów jego już się przepełniła.

— Ale ojcze, on przecie zapłaci! A gdy się żołnierze tutaj biją, on ich sam zawsze powyrzuca, aby tobie ujął pracy!

— Nie, aż zapłaci! a na tem koniec! — fuknął, tupnął nogą i przy ostatnim rachunku Marcina nakreślił osobliwszy znak, tak, że Frącek nic nie mógł dopisać.

Wkrótce potem huzar Marcin nadszedł, a Frącek mu powiedział całą sprawę.

— No, ja wam jeszcze naleję — ale trzeba o tem zamilczeć!

Wlał Frącek porządną miarę i przyniósł, ale już nic więcej.

Marcin wypił piwo, a nieszczęście nauczyło go myśleć. Myślał, myślał nareszcie się uśmiechnął.

— Tak dobrze — ja potrzebuję piwa, a nie pałasza. Nadaremnie tylko człowiekowi cięży. Rękojeść zatrzymam,

a do pochwy wystrużę kawał drzewa. Trębacz nie potrzebuje szabli przez cały rok, tak samo, jak adjutant; chyba, że przy jakiej bijatyce — ale od dzisiejszego dnia już się nie będę bił.

Poleciał do kramu żyda Mośka.

— Słuchajno Mośku, mam coś do sprzedania.

— Żołnierski tytoń z pewnością?

— Nie, szablę.

— Kupię, kupię, panie huzarze; ile za nią?

— Sześć złotych.

— Dobrze.

— Weźmij ją sobie — dawaj pieniądze! ale rękojeści ci nie dam.

— To też nie kupię!

— Nie!

— Hm, kupię!

Wojak wydobył pałasz, odśrubował rękojeść, a drugą część oddał żydowi.

— Teraz przynieś mi Mośku kawał drzewa.

— Na co?

— Nie pytaj się, tylko przynoś.

Żyd przyniósł deskę, huzar wydobył swój trzygroszowy nóż, ostrugał ją, wkręcił rękojeść, schował do pochwy i poszedł.

— Dokąd?

— Prosto do karczmy.

Zawołał szynkarza, aby obrachował dług, zapisany na drzwiach za picie. Szynkarz obrachował, powiedział mu, a on bez sprzeczki wydobył pieniądze, zapłacił i powiedział gościnnemu, aby na nowo wziął kredę do ręki.

— Dobrze, dobrze, ja wam znowu poczekam, Marcinie.

Tymczasem w karczmie znajdujący się koledzy trębacza dziwili się, skąd Marcin nabył pieniędzy; mówili to i owo, kręcili głowami, zaczęli się spierać, rozmowa stała się coraz głośniejsza, już powstali, brali za szklanki i stołki.

— Ja was tu pogodzę, wy gołobratkowie! — krzyknął Marcin i wyskoczył z poza innego stołu. — Wy się tu chcecie bić — co?

I w sprawiedliwym swym gniewie sięgnął po szablę, aby im dać naukę moralną — wyrwał z pochwy, zamachnął nad głowami — kawałem drzewa. Zapomniał nieborak o przyrzeczeniu, że już bić się nie będzie. Spiesznie wsunął «szablę» do blaszanej pochwy, ale już zapóźno.

Ogromny śmiech wybuchnął w karczmie, a wnet wiedział cały pułk, że trębacz Marcin ma drewnianą szablę. Wiedzieli huzarzy, wiedzieli oficerowie, dowiedział się i pułkownik.

Na drugi dzień Marcin został zawołany do kancelaryi pułkownika.

Wiedział już nieborak, o co chodzi, i był pogrążony w największym smutku.

Zapukał do drzwi, wszedł.

— Hej huzarze! — zawołał pułkownik, trzymając innego żołnierza za kołnierz — ten tu człowiek napadł na mnie — dobrze, że ty idziesz. Zabij go na miejscu. Dobądź szabli!

Marcin zawahał się.

— Słyszałeś? — dobądź szabli. Rozkazuję ci, abyś go przebił!

— Niech pan pułkownik mu przebaczy.

— Rozkazuję ci, abyś..

— Nie chcę przelać krwi mego kamrata — westchnął trębacz i pobożnie wzniósł wzrok ku niebu. — Ty zaś, święty Marcinie, patronie mój, pomóż zapobiedz krwi przelaniu — uczyń cud, aby ostra moja szabla przemieniła się w kawał drzewa! Więc!

Chwycił za rękojeść i wydobył drewnianą szablę.

— Widzisz, panie pułkowniku! stał się cud — człowiek ten niewinny, Patron mój mnie wysłuchał.

Pułkownik się rozśmiał i rzekł:

— No, to dobrze Marcinie! Idź zgłoś się do straźmistrza o nową szablę, lecz pamiętaj, że na drugi raz ani twój patron ci nie pomoże.

O SŁOŃCU.

(Dokończenie).

Zachodzi jeszcze pytanie, skądże my wiemy, że słońce nie jest tarczą, jak nam się zdaje, ale kulą? Przecież, chcąc się tego dowiedzieć, trzebaby je obejrzeć na około, ze wszystkich stron. A ono zawsze jednakowo wydaje nam się okrągłym białym krążkiem, co jeszcze wcale nie dowodzi jego kulistości.

Od niepamiętnych czasów astronomowie przyglądali się pilnie i badali słońce. Otóż tak patrząc na nie przez szkła zakopcone, bo inaczej dla niezmiernego blasku patrzeć nie można, spostrzegli na niem jakieś miejsca ciemniejsze, czyli plamy. Badając dalej te plamy, zauważyli, że one nie stoją zawsze w jednem miejscu, ale się przesuwają coraz dalej ku prawej krawędzi słońca, poczem zachodzą za krawędź, wreszcie znikają. Zauważyli znowu, że we dwa tygodnie też same plamy ukazują się na lewym brzegu słońca i przez następne dwa tygodnie przesuwają się zwolna ku prawemu brzegowi — i tak ciągle. Z tego wypływa wniosek, że kula słoneczna potrzebuje około 28 dni, żeby się obrócić około swej osi. — Otóż to właśnie jest dowodem, że słońce obraca się samo koło siebie, jak koło u woza obraca się około swej osi, że widzimy je zawsze okrągłem, musi więc ono być kulistem, jak i nasza ziemia.

Słońce należy do gwiazd stałych, to jest takich, które mają własne światło, a w przestrzeni świata zawsze w jednem się miejscu znajdują. A słońc takich w wszechświecie jest bardzo dużo.

Kiedy podczas jasnej, pogodnej nocy spojrzymy w górę, to oczom naszym przedstawi się niezliczone mnóstwo świetlanych punkcików, zasiewających firmament niebieski. Są to gwiazdy. Przy dobrym wzroku można ich dostrzedz parę tysięcy, ale przez teleskop (dalekowidz astronomiczny) widać ich kilkanaście milionów. O! cóż to za ogrom wszechświata nam się wówczas przedstawi! A o ileż on się wyda nieskończenie większym, gdy zrozumiemy, że każda z tych gwiazd, tak drobna na pozór — to wielkie i potężne słońce, równie jasne i gorące, a może jeszcze gorętsze, niż nasze

słońce. Wydają się nam one tak niepozorne i małe dlatego tylko, że są oddalone od ziemi o miliony milionów mil.

Wszyscy znają drogę mleczną, ten wązki pas, tę smugę świetlaną, biegnącą po niebie nad naszemi głowami. Otóż ta droga mleczna, co nam się wydaje jakby tylko jakaś mgła jasna — niczem innem nie jest, jak olbrzymiem mrowiskiem gwiazd, które można rozróżnić jedynie przy pomocy wielkiego, bardzo przybliżającego teleskopu. Jest to więc zbiorowisko słońc, których nikt przeliczyć nie jest w stanie, a do tego pierścienia słońc należy i nasze życiodajne, błogosławione słońce, znajdujące się gdzieś na samym jego skraju.

W niezmiernej przepaści wszechświata i nasze słońce wydaje się taką drobną gwiazdą, tak niepozorną, jak tysiące owych gwiazd, błyszczących na niebie w czasie pogodnej nocy. Dla nas jednak ma ono niezmierne, niesłychane znaczenie. Korzystamy z jego światła i ciepła, bo znajduje się bez porównania bliżej ziemi, niż wszystkie inne gwiazdy.

Dokoła słońc w niezmiernej przestrzeni poruszają się ciemne kuliste bryły, tak zwane planety, do których należy i nasza ziemia. Wszystkie one wirują dokoła słońca i od niego zależą, słońce bowiem wywiera na nie siłę przyciągającą, która im nie pozwala zejść ze swej drogi i pomknąć w dal niezmierzoną. Siła ta nadaje im ruch i utrzymuje w sąsiedztwie słońc. Dotąd planet większych, odbywających ruch dokoła słońca, znamy ośm, a najmniejszych, zwanych planetoidami nierównie więcej. — Dokoła planet krążą księżyce, a wszystko to razem tworzy jednę całość, której środkiem jest słońce, a która nazywa się systemem, albo układem słonecznym.

Z planet należących do układu słonecznego, największe są: 1) Merkury o 8 milionów mil oddalony od słońca, rzadko widzialny, bo cały tonie w świetle słonecznem. 2) Wenus, piękna gwiazda, o 15 milionów mil oddalona od słońca, nazywamy ją Jutrzenką, albo Gwiazdą poranną, czy Wieczorną. 3) Nasza Ziemia, o 20 milionów mil od słońca oddalona. 4) Mars, o 32 miliony mil oddalony. 5) Najpotężniejszy ze wszystkich planet Jo-

wisz, odległy o 117 milionów mil. 6) Kilkaset razy większy od ziemi unosi się w przepaściach niebieskich Saturn; 7) po nim idzie Uran, wreszcie 8) Neptun, najodleglejszy i najpóźniej odkryty.

„Wkoło tych olbrzymów krążą całe szeregi planet drobniejszych, księżyców, komet, ukazujących się od czasu do czasu na niebie. Wszystko związane w jedną całość siłą przyciągającą słońca, a wirujące w nieskończonych obszarach międzygwiaździstych, nazywa się, jak rzekliśmy, układem słonecznym, a jest jednym, ale potężnym wyrazem wszechmocności Boga, Stwórcy wszystkich tych cudów i tego olbrzymiego, myślą ludzką nieobjętego wszechświata. *W. G.*

POLSKIE ZBOŻE.

Oddawna rodzi zboże piękne polska ziemia; oddawna, odkąd tylko jakieś wieści są o naszych przodkach, chodził Polak za pługiem czy sochą, orał, siał i zbierał i dla siebie i dla swej rodziny. Rolnikiem przecież miał być Piast, ojciec książąt i królów, którzy wieki całe szczęśliwie rządzili państwem polskiem, — dumny był z swego zajęcia.

I szczęścił Bóg i rodziło się tu zboże plenniej niż gdzieindziej; i rzadko się w Polsce zdarzało, znacznie rzadziej niż w innych krajach, by zawitał głód, tak groźny w dawnych wiekach, kiedy niełatwo było dowieść ziarno, czy na zasiew, czy na chleb powszedni.

Rolniczy to kraj nasza Polska — od zarania naszych dziejów.

W dawnych czasach sam każdy musiał tyle własnemi rękami uprawić ziemi, ile mu było potrzeba, sam zrobić sobie wszystko, i dom zbudować, i narzędzia rolnicze i sprzęty domowe. A jeśli więcej zboża mu się zrodziło, to chował na zapas, bo nie było komu sprzedać. Ledwie rzadkie były targi w czasie odpustów przy większych kościołach, a i na nich nikt o zboże nie pytał.

Ale przyszły — lat temu sześćset — nowe czasy. Polska zaczęła się zaludniać, bo coraz więcej rodziło się

ludzi, zaczęły powstawać miasta, w których osiedlali się rzemieślnicy, zmyślni i pracowici, tak, że czego kto nie umiał sam zrobić, lub mu się nie chciało, to u nich mógł się we wszystko zaopatrzyć. A czego nie dostarczyli rzemieślnicy, to dowozili kupcy, którzy się po miastach osiedlili, nieraz zdaleka, bo nietyko z innych krajów Europy, ale nawet i z Azyi, skąd do Polski szły wtedy korzenie: pieprz, imbir, cynamon i t. d. i ładne, ale drogie jedwabie. A właśnie to w tym czasie — nauczył się polski wieśniak lepszej uprawy ziemi, wrowadził trójpolówkę i żelazny pług. Więc tak się dobrze składało, że właśnie wtedy, kiedy po miastach można już było nabyć wiele ładnych przedmiotów, i lepszych zwykle, niż je sobie chłop mógł sam zrobić, i chłopu zaczęło się lepiej wieść, tak, że miał za co kupić — a zwłaszcza za to zboże, które mu rodziła jego święta ziemia. Jeśli więc tego zboża miał więcej, niż potrzebował, wiózł na targ, gdzie je kupowali piekarze, czy inni mieszczanie, którzy często sobie wtedy sami chleb piekli, a za pieniądze, które dostał, znów kupował, coby trzeba mu było do gospodarstwa. A czem więcej było miast, czem w nich więcej ludzi, tem więcej też było zboża dla nich potrzeba.

I nie brakło go. Poczciwa polska ziemia tyle go rodziła, że dla wszystkich starczyło. A niewszędzie tak wtedy było. W innych państwach w Europie, w Niderlandach zwłaszcza, (tam, gdzie są dwa państwa: Belgia i Holandya) i w odległej Anglii, ale także we Francyi i w Italii coraz jakoś mniej było zboża, a coraz więcej ludzi. Nieraz tam nieurodzaj przychodzi, a z nim i głód. Lecz zwiedzieli się, że jest taki kraj, gdzie tego zboża jest dużo, tak, że i dla nich wystarczyłoby, że ten kraj Polską się nazywa. Więc zaczęli wysyłać swoje okręty do wielkiego miasta Gdańska, które leży tam, gdzie Wisła wpada do morza i pytali się, czyby zboża nie dostali. A Gdańszczanie, choć wówczas jeszcze Krzyżacy tam rządzili, z Polską częste mieli stosunki, więc wiedzieli, gdzie tego zboża szukać.

I rzeczywiście z Polski, ile było potrzeba, dowożono zboża poddostatkiem. Nieraz to i trzysta okrętów w Gdańsku na polskie czekało zboże. Ale jeszcze to się zdarzało od czasu do czasu, kiedy urodzaj w tamtych krajach nie

dopisał. Tak było za króla Jagiełły i jego obu synów: Władysława i Kazimierza Jagiellończyka. Ale się wkrótce ci obcy przekonali, że to polskie zboże i lepsze i tańsze, niż u nich, że lepiej im w inny sposób zarabiać na pieniądze, a zboże w Polsce kupować. I tak już za panowania króla Zygmunta Starego i jego syna Zygmuta Augusta zaczynają już stale, co rok, okręty jeździć po zboże do Gdańska, by je stamtąd morzem wieść do dalekich krajów. A kiedy dawniej tylko drzewo Wisłą spławiano, to teraz coraz częściej, coraz więcej szło Wisłą statków do Gdańska, który już wtedy do Polski należał, bo go odebrano Krzyżakom, zbudowano na wyspie wielkie spichlerze, w których zboże chowano, aż się po nie zjawił kupiec.

I z każdym rokiem wzmagał się ten ruch, coraz to więcej zboża do Gdańska z Polski Wisłą płynęło i dochodziło do tego, że za króla Jana Kazimierza to nieraz dowieziono w ciągu roku i do dwóch milionów korcy żyta i pszenicy. Sławna też była w Europie Polska ze swojego zboża, bez niego byliby ci obcy co roku prawie ciężki głód musieli znosić. I mówiono o Polsce zagranicą, że ona dla tych krajów jest spichlerzem Europy, to jest że z niej jak ze spichlerza ci Holendrzy, Anglicy, Francuzi i Włosi mogli brać dla siebie zboże. I taka była wówczas Polska bogata, jak nigdy przedtem.

Cieszyli się z tego bogactwa ludzie, ale nie wszyscy długo się cieszyli. Ta obfitość zboża, to, że można było je tak łatwo zbyć za dobre pieniądze, sprawiło, że zaczęła się do uprawy roli brać także i szlachta. Dawniej szlachcic niewiele uprawiał ziemi. Koło jego dworu był wprawdzie folwark, ale nie duży, co najwyżej — to i to rzadko — kilkadziesiąt morgów, który chłopi szlachcica bez trudu mogli uprawiać. Niewiele też było robocizny, zwykle od jed nej chałupy ze wsi trzy dni roboty na rok wystarczy, by wszystkie te grunty pańskie obrobić, zasiać i zebrać, bo młócił pan wsi swoją czeladzią, która mu i resztę robót wykonywała. Poza tem zaś dawali mu chłopi z gruntów czynsz i to niewysoki, bo z jednego morga na nasze dziśby dwie może korony wypadły, bo wtedy pieniądz więcej wartał. Z tego żył szlachcic, a resztę na króla pa-

trzył, z którym chodził na wojaczkę, by go nagrodził za trudy wojenne.

W tym jednak czasie, już za króla Jagiełły przekonano się, że takie wojsko, do którego od czasu do czasu powoływano szlachtę, niewiele warte, bo często nie było posłuszne, a nieraz, kiedy najwięcej ich trzeba było, to się do domów rozchodzili, jeśli wyprawa za długo trwała, bo im się cniło za żoną i pierzyną. Więc król zaczął sobie najmować żołnierzy, którzy mu za pieniądze służyli, jak długo ich płacił; a że to było ich stałe zajęcie, więc z nich dobry był żołnierz, który wojną żył i dobrze też był w wojennem rzemiośle wyćwiczony. Pozostawała więc odtąd szlachta w domu mogła też więcej zająć się rolą i pługiem. A że i ona widziała, jak łatwo było zboże sprzedawać, więc też myśleć zaczęła o tem, by go uprawiać więcej i tak swoje powiększyć dochody; ziemi jej nie brakło.

Każdy pan wsi miał jeszcze obok tych morgów, które już uprawiał i obok tych, które oddał swoim chłopom do uprawy, jeszcze dość ziemi, ale nieuprawnej, nieużytki i lasy. Więc zaczął tę ziemię brać pod uprawę, karczować lasy i tak powiększać swój folwark, że nieraz już wtedy ten folwark prawie taki duży się zrobił, jak wszystkie razem grunta chłopskie. Ale do tego wykarczowania ziemi, a potem stale co roku do jej uprawy, trzeba było pracy rąk ludzkich. I skądżeby ją wziąć? Oczywiście od chłopa bo innego robotnika nigdzie nie było. Więc zaczęto domagać się pańszczyzny i coraz to większej. A że szlachta sama siedziała w sejmach, więc też i sejmy na to się godziły, choć najczęściej poprostu zmuszali sami chłopów do tego, by się zgodzili na podwyższenie pańszczyzny, bo na sejmie toby było ciężej, tam przecie znalazłby się niejeden, a zwłaszcza król, któryby się takiej uchwale sprzeciwiał.

Ale już wtedy szlachta nie pozwalała nawet królom mieszać się do tego, co się na wsi działo, mówiąc: że ona we wsi królem. I tak, czem więcej zboża szło za morze, tem więcej pracy musiał dawać chłop, a później przez dwieście ostatnich lat istnienia Polski, to zwykle z piętnastu morgów musiał robić przez cały rok po dwa dni w tygodniu na pańskiem. Tylko w królewskich dobrach i kościelnych było lepiej, bo duchowni więcej baczyli na przyka-

zania Boskie, by nie uciskać, a król to zawsze bronił chłopów i pozwalał im skarżyć w swoim sądzie na dzierżawców swoich, jeśli źli byli i za wiele żądali robocizny. A że chłop widział, iż go uciskają, więc tracił chęć do pracy i coraz gorzej pracował. Bo i cóż to znaczy dzień pracy? Jeden zrobi dużo, jak będzie pracował dobrze, zwłaszcza wtedy, kiedy pracuje dla siebie i wie, że co zarobi, to jemu zostanie. A drugi i silniejszy i sprytniejszy w robocie, to gdy musi robić dla innego, gdy za to nic nie ma, będzie tylko patrzył, by jak najmniej się upracować. I tak też, choć dużo dni na pańskiem robili, to niewiele i kiepsko robili, choć ekonom stał im nad karkiem i krzyczał. Więc też i ziemia, gorzej uprawiana, mniej dawała.

A i szlachta wówczas, za obu królów Sasów, o tem tylko myślała, by jeść i pić, niewiele się uczyła, nie dbała o rolę, sądziła, że jak ma dużo dni pańszczyźnianych, to już wystarczy. A ziemia tyle lat uprawiana tak samo, już tak nie chciała rodzić, jak dawniej, bo ją trzeba było lepiej nawozić, lepiej przygotować, a tego nie robiono. I tak, że w tych czasach kiedy chłopu było najgorzej, kiedy najwięcej musiał na pańskiem pracować, ziemia mniej dawała płodów, a do Gdańska za tych królów Sasów to z tej dużej Polski ani czwartej części nie wysyłano zboża, co dawniej, kiedy chłop jeszcze mniej pracował.

Ale spostrzegli ludzie mądrzy, że tak dalej być nie może, że trzeba pomódz chłopu, uwolnić go jakoś od takich nieznośnych ciężarów. I zaczęto za króla Stanisława Augusta poprawiać te stosunki, zniżać pańszczyznę, dawać chłopu większe prawa.

— Był to już początek przyszłej wolności i lepszej doli chłopskiej. *(Przypisek Redakcyi)*.

Z pism Dra St. Kutrzeby.

Sąd familijny w Nowym Jorku.

Niezwykły sąd rozpoczął przed kilkoma tygodniami swoje czynności w Nowym Jorku (w Ameryce). Jest to sąd «pożycia domowego», który ma wydawać wy-

roki w rozmaitych sprzeczkach domowych, a w szczególności bronić opuszczonych i źle traktowanych zarówno żon jak i mężów.

Na otwarcie owego sądu przybyła wielka liczba kobiet i mężczyzn z najrozmaitszych stanów, aby u sędziego p. Cornella szukać pomocy i ratunku w potrzebie. Były pary eleganckie i wyglądające na zadowolone, ale nie brakowało postaci rozpaczliwych, którym głód i nieszczęście można było wyraźnie wyczytać z oblicza i z ubioru.

Sędzia otworzył pierwsze posiedzenie skromnie i bez wszelkich formalności, a zarazem zaznaczył, że wszyscy, którzy się zwrócili do sądu, muszą przedłożyć swoje sprawy ze spokojem i że kłócić się nie wolno. Pierwszą oskarżycielką, która wystąpiła, była nieśmiała i uboga kobieta z dziecięciem na ręku. Prosiła o zaaresztowanie męża, który ją opuścił. Jej życzeniu uczyniono zadosyć, poczem przed sędziego wystąpiła inna kobieta w towarzystwie męża i ojca. Oskarżającym był w tym wypadku mąż. Żalił się gorzko na zachowanie się swego teścia. Przesłuchano więc teścia, zamącającego spokój małżeński. Zeznał, iż go wspomaga syn i że mieszka u córki.

— Musi więc pan teraz zamieszkać u syna — brzmiał salomonowy wyrok sędziego p. Cornella — to obecne małżeństwo będzie potem szczęśliwem z sobą.

— To jest właśnie, czego pragniemy — powiedział małżonek z zadowoleniem i opuścił salę sądową, prowadząc żonę pod rękę.

Tuzin innych wypadków wytoczono jeszcze przed sędzią, a owemu urzędnikowi udało się usunąć w połowie trudności między małżonkami i doprowadzić do tego, że pary odeszły zadowolone i szczęśliwe. W ostatnich latach zdarzało się coraz częściej, iż jeden z małżonków opuszczał złośliwie drugiego, co wywołało konieczność zaprowadzenia takiego sądu. Przeciętna liczba skarg, jakie z tego powodu otrzymywała policya, wynosiła w roku 2.700 sztuk.

Rozmaitości.

Żyd o żydach polskich.

Jeden z żydów berlińskich Dr. Lessing, były syonista, objechał w tym roku Galicyę i Królestwo Polskie, poczem wydrukował w pewnym berlińskim tygodniku żydowskim swe wrażenia, malując w najczarniejszych barwach stan moralny żydów.

Według jego zdania (całkiem trafnego) żydzi zamieszkali w Polsce, to sami prawie złodzieje, krzywoprzysięzcy, handlarze żywym towarem, oszuści, kłamcy i t. d. I nie omylił się, bo rzeczywiście tak jest.

Objawienie zmarłego.

Gazety nowojorskie donoszą, iż niejaki William James, profesor na uniwersytecie w Havard, obiecał swym przyjaciołom, iż po śmierci da im znać o sobie.

Otóż niedawno w tym roku przesłał on jednemu z lekarzy taką podobno wiadomość z tamtego świata: „Pokój jest ze mną i z całą ludzkością. Przebudziłem się do życia, które o wiele przewyższa wszystkie moje oczekiwania i najśmielsze przedstawienia robione na ziemi. Powiedz moim braciom, że dostarczę im niezbitego dowodu mej osobistości, skoro tylko będę mógł dokładniej się dać poznać. Nie mogę opisać, jak trudno jest przesłać na ziemię znak z tego tutaj świata“.

Świecąca ryba.

Jedna z gazet włoskich donosi, że w znacznej głębokości morza znaleziono rybę szczególnego rodzaju. Ryba ta posiada po obu bokach ciała szereg okienek, wydzielających światło, przy pomocy którego ryba może się oryentować.

Okienka powyższe mogłyby grozić rybie niebezpieczeństwem, to też posiadają one zasłony w rodzaju powiek ocznych. Osobliwym jest fakt, iż ryba owa przy

pomocy pewnych gruczołów, zawierających ciecz barwnikową, może kolor wydzielanego przez siebie światła dowolnie zmieniać. Wskutek tego świetlik ryby zmienia się często z błękitnego w czerwonawy lub żółty.

Czytelnie i biblioteki ludowe w Danii.

W roku 1908 dawał rząd duński zapomogi 688 bibliotekom ludowym, które liczyły razem 388 tysięcy tomów na składzie, a 940 tysięcy tomów w wypożyczeniu u czytelników.

Prócz tego otworem dla ludu stoi także państwowa biblioteka w Aarhus, posiadająca obszerną i piękną czytelnię, w której znajduje się kilka tysięcy książek najwięcej używanych. Lud duński chętnie i w wielkiej liczbie uczęszcza do owych bibliotek na czytanie książek. Kiedy to u nas do tego dojdzie! Chyba po setkach lat, bo nasz lud w znacznej jeszcze części woli karczmę, niż czytelnię!

Okropna ciemnota.

Pewien znachor w miejscowości Godor w Hiszpanii poradził dzierżawcy, ażeby się leczył krwią młodego chłopca. Znachor podjął się za 750 pesetów dostarczyć chłopca. Schwytano istotnie 7-letniego chłopca w kąpieli i przywieziono do domu dzierżawcy. Tu przekłuto mu serce, a krew z niego wypił chory. Następnie rozpłatano tłuszcz z pod żeber i przyłożono dzierżawcy na piersi. Resztki ciała rzucono w przepaść. Wszystkich współwinnych aresztowano, z wyjątkiem znachora, który zbiegł.

Wychodźctwo do Ameryki.

Wychodzący w Milwaukee *Kuryer polski* pisze, iż w miesiącu czerwcu bież. roku wylądowało w porcie nowojorskim 76 tysięcy 615 emigrantów, którzy przywieźli z sobą gotówką 2 miliony 80 tysięcy 125 dolarów, czyli średnio 25 dolarów na głowę. Z ogólnej liczby przybyszów 11 tysięcy 296 było już pierwej w Ameryce.

Zwrócono do miejsca wyjazdu lub wyłączono od lądowania w czerwcu 1.562 osoby. Według narodowości było: Włochów 16.654, Polaków 10.040, żydów 8.015, Greków 5.556, Niemców 5.042. Polacy zajmowali zatem w czerwcu drugie miejsce co do ilości; Rusinów przybyło tylko 1.992.

Ruchome Kościoły.

Chociaż Stany Zjednoczone liczą teraz więcej niż 200 tysięcy kościołów i kaplic, to jednakowoż są miejscowości, gdzie niema ani kościoła, ani żadnego domu modlitwy. Ażeby przeto ludziom, mieszkającym w takich miejscowościach, o ile nie znajdują się w pobliżu stacyj kolejowych, ułatwić bywanie na nabożeństwie swego wyznania, zbudowano ruchome kościoły i domy modlitwy na podobieństwo wagonów kolejowych Tak n. p. dla katolików zbudowano taki kościółek pod wezwaniem świętego Andrzeja.

Kościółek ten ma 13 metrów długości od drzwi wchodowych do ołtarza i ławki po obu stronach przejścia w pośrodku z miejscem na 100 osób. Jest nawet zakrystya, są nawet i organy. W drugiej mniejszej połowie wagonu znajduje się mieszkanie dla księdza z kuchnią. Obecnie krąży po kolejach Stanów zjednoczonych 12 takich kościołów i domów modlitwy, przeznaczonych dla rozmaitych wyznań. Koleje przewożą takie wagony z kaplicami zupełnie bezpłatnie. Znany miljarder Rockefeller popiera hojnie dalsze ich zakładanie.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Figle i żarty.

Na egzaminie. — Proszę mi powiedzieć, jakie są oznaki wścieklizny?

Student milczy.

— No, cóż pies uczuwa wówczas, gdy ma gdzie jakie bóle?

— Przepraszam pana profesora, ale żadnego psa o to nie pytałem.

Siła przyzwyczajenia. — Stary kawaler, który strawił życie w knajpach, leżał na łożu śmierci. Jego ostatnie słowo było:

— Już idę, kelner, płacić!

Mądry Jędruś. — Cóż to Jędrusiu, taki jesteś przestraszony?

— O, bo ciocia przed chwilą mi powiedziała, że jam z prochu powstał, obawiam się więc, abym nie wystrzelił!

Pomylili się. — Dlaczego ci małżonkowie rozchodzą się już w pół roku po ślubie?

— A bo pomylili się. On myślał przed ślubem, że ona ma duży posag; ona znowu myślała, że on bardzo bogaty.

Ciekawe zapowiedzi. Ksiądz głosi:

— Jan Chrzan i Maryanna Jedlipsa — zapowiedź pierwsza.

Panu młodemu to się nie podobało, więc prosił księdza, aby inaczej to powiedział.

Ksiądz usłuchał i tak głosił:

— Jan i Maryanna Chrzan i Jedlipsa — zapowiedź druga...

I to nie zadowoliło młodego — znowu poszedł do księdza.

Ksiądz, zmieniwszy, tak głosił:

— Maryanna z Janem Jedlipsa z Chrzanem — zapowiedź trzecia i ostatnia.

Dziwna rzecz. — Masz pan wodę w boku, trzeba będzie wypompować.

E, to nie może być, ja przez całe życie nigdy wody nie piłem.